

# NASZA GAZETKA



DODATEK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

## GENERAL SIKORSKI

Rok temu, w służbie dla Ojczyzny zginął Premier Polski i Naczelnny Wódz, generał broni, Władysław Sikorski. Wraciał właśnie z podróży, w czasie której odwiedził na Środkowym Wschodzie, rozbudowującą się Armię Polską, która dzisiaj tak znakomite zwycięstwa we Włoszech odnosi, ośrodki uchodźcze polskie, a wreszcie odwiedził tych, którzy Jego

zówki na przyszłość. Starsi spośród nas, którzyśmy się poza granicami Polski znaleźli, walczą o teraźniejszość, o to, jaką ta Polska będzie dziś lub jutro, do młodszych należy walka o tę Polskę, która przyjdzie i dlatego generał Sikorski, zwiedzając ośrodki, gdzie żyją, wychowują się i kształcą dzieci i młodzież polska, zwiedzał je tak samo, jakby to były od-



sercu zawsze byli najbliżsi, młodzież polską. Interesował się ich pracami, ich osiągnięciami na obczyźnie, dla każdego znalazł jakieś słowo pociechy, zachęty, każdemu, z kim rozmawiał, pozostawił jako wspomnienie po sobie wska-

ziały, należące do Armii Polskiej.

Ta szczególna miłość i szacunek dla wysiłku dzieci i młodzieży polskiej, jakie generał Sikorski zawsze w sercu nosił, wynikły z tego, że od najmłodszych lat, w cza-

sach, gdy Polska pod trzema zaborami się znajdowała, On sam dla Polski zawsze pracował. Wiedział, jaką wartość posiada serce dziecka i miłość dla Ojczyzny, którą ono odczuwa. Wiedział, jak niezdobytą fortecą są umysły młodzieży, należycie wykształconej, garnącej się do spełnienia zadań, które ją czekają. Generał Sikorski badał nie tylko stan fizyczny, wygląd zewnętrzny, ale zaglądał do katalogu, gdzie są noty i stopnie.

Każdemu z Was, komu w pamięci pozostała twarz generała Sikorskiego, pozostał i Jego uśmiech. Tak, bo generał Sikorski był

najszczęśliwszy wśród dzieci polskich, tam widział tylko nadzieję, tam Jego umysł i serce, zatroskane ciężkimi sprawami i zadaniami, które musiał wykonywać, znajdowały samą radość, same dobre zadatki na przyszłość.

Pierwszą rocznicę Jego zgonu w służbie dla Ojczyzny, poświęćmy nie tylko wspomnieniu Jego osoby. Niech będzie ta chwila także i rachunkiem, zdaniem sprawy z tego, ile myśmy z nadziei generała Sikorskiego spełnili, ile drogi przeszliśmy dla spełnienia tych zadań, które nam wyznaczył.

K. M. Z.

## ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI STANÓW ZJEDNOCZONYCH

W roku 1776, 4 lipca, trzynastcie kolonij w Ameryce Północnej ogłosiło swą niepodległość. Ogłosiły one, że odtąd nie będą podlegały żadnej innej władzy jak tej, którą sobie same u-

na tym, ale gdy usiłowano przywrócić poprzednią władzę, która je krępowała, z bronią w rękę odparły zamach na swą wolność. Bo na tym właśnie polega *wolność narodów*, że podlegają one *swej własnej władzy i swym własnym prawom*.

Data ta stała się potem świętem narodowym Stanów Zjednoczonych i z biegiem czasu jak coraz więcej innych narodów odzyskiwało swą niepodległość, święto to zyskiwało na znaczeniu, albowiem było mile i drogie i innym narodom. To święto Stanów Zjednoczonych, w których obronie walczyli także i Polacy, Kościuszko i Pułaski, było symbolem walki o wolność. Wzywało i inne uciśnione narody do zrzucenia obcego jarzma, do walki o niepodległość.

Stany Zjednoczone przez długi czas były krainą, dokąd emigrowali ludzie, którzy z gnębiącymi ludźmi rządami carów i cesarzy nie mogli się pogodzić.

Między innymi wielu Polaków znalazło tam swoją drugą Ojczyznę, która dała im pracę, dobrobyt, a nade wszystko najcenniejszy skarb dla każdego człowieka — wolność. W czasie ostatniej wielkiej wojny, gdy armia



stanowią, i że będą posłuszne tym prawom, które same uchwalą. Kolonie nie poprzestały

amerykańska znalazła się we Francji, Prezydent Ameryki Wilson wśród warunków pokojowych dla pobitych nieprzyjaciół Polski, umieścił punkt, który postanawiał, że musi powstać Wolna, Niepodległa Polska.

Dziś tak samo, po raz drugi na terytorium Francji znalazły się wojska amerykańskie, które biją się o wolność nie tylko swoją, ale o

wolność innych narodów, które biją się także o wolność Polaków.

I znowu wielki przywódca narodu amerykańskiego, Prezydent Roosevelt, którego tu na zdjęciu widzicie, zapewnił Polaków o tym, że Polska odzyska swą niepodległość, swoją wolność.

Pro.



Wiersz o obronie Warszawy z cyklu „Varsovia semper heroica“ tym aktualniejszy, że pomnik Kilińskiego obalony został przez okupanta w odwet za walkę Podziemnej Warszawy.

Panie Pułkowniku Kiliński,  
który stoisz na Placu Krasiańskich  
na nieładnym i śmiesznym pomniku,  
patrz uważnie, panie pułkowniku!  
Na Miodowej, na Długiej, na Placu  
mnóstwo mężczyzn, i kobiet, i chłopców,  
barykady wznoszą z brukowców,  
z starych mebli, wózków, materaców.  
Patrz na twarze tych kupców, rzemieślników,  
biuralistów i pracownic igły,  
na ten upór na twarzach zastygły —  
czy poznajesz panie pułkowniku?  
Cóż, że ponad ulicami  
Półtora wieku bezmała przewiało,  
to ci sami pułkowniku, ci sami:  
lud warszawski, twoja krew i ciało.  
To ci sami, szewcy i subiekci  
i ten uczeń ze szkoły smarkaty,  
których wtedy, w dniach Insurecji  
prowadziłeś na rosyjskie armaty.  
Obróć na nich zwilgotniałe oczy,  
patrz, jak wola niezłomna w nich rośnie,  
jak, ich upór zwycięstwa jednoczy...

Wkrótce ujrzysz, jak giną radośnie.

Jak kwiatami ten kamienny cokół,  
żeby uczcić twe męstwo i sławę,  
tak szaniami otoczyli wokół  
ich i twoje miasto, Warszawę.  
I przysięgli sami przed sobą,  
nie na rozkaz, nie przed żadną władzą,  
że choć zginą, a tym Niemcom chorobom  
swej Warszawy tak łatwo nie dadzą!  
Jaka szkoda, panie pułkowniku,  
żeś już służyć Warszawie tej przestał,  
że cię wiąże i ciąży piedestał,  
że cię rzeźbiarz do granitu przykuł —  
z tych koturnów zszedłbyś bohaterskich  
i tam pobiegł poprostu, gdzie oni,  
z szewską pasją w sercu żołnierskim  
i z tą szablą podniesioną w dłoni.  
I, być może, na szanicach Warszawy  
spotkałbyś się z swym nowym kolegą,  
z nowym wodzem ludu warszawskiego  
z dni pożogi i krwi i sławy.  
I schyliwszy głowy w ukłonie  
uściskałbyście sobie dłonie:  
— Pułkownik Jan Kiliński  
— Prezydent Stefan Starzyński.

(Z czasopisma Polski Podziemnej:  
„Prawda Młodych“)

ZDZIŚLAW DĘBICKI**P O Ł U D N I E**

Parne południe w czas skwarne lata —  
 Żaden liść nie drgnie od wiatru podmuchu,  
 Tylko z lip starych źdźbła złotego puchu  
 Sypią się lekko, a rzesza skrzydlata  
 Owadów, barwą malowanych tęczy,  
 Cicho, jak harfa niewidzialna brzęczy.

Parne południe w czas skwarne lata —  
 Staw drzemie, śpią szuwały.

W tafli wodnej

Błękit się nieba odbija pogodny,  
 A słońce płonie, jak źrenica świata.

Parne południe w czas skwarne lata...

**P O M Y Ś L M Y   O   P O L S K I M   M O R Z U**

Nowoczesne państwo, aby mogło żyć, musi zapewnić sobie jak najużyteczniejszą linię pobraża morską, musi postarać się o dobre porty.

Okolo 80% całego handlu światowego prowadzi się drogą morską, która jest o wiele tańsza, niż droga lądowa. Państwa rozumieją to doskonale i każde z nich dąży do zapewnienia

ciwko Krzyżakom, które ostatecznie pozwoliły nam odzyskać Prusy Zachodnie czyli Królewskie. Rozumiał kwestię Bałtyku Zygmunt August, wojnę o Bałtyk toczyli Wazowie. I w ciągu dziejów naszych statki pod polską banderą prudy fale bursztynowego morza.

Wielka wojna 1914—1918 dała Polsce niewielki wprawdzie, lecz zawsze dostęp do morza,



nia sobie okna, wiodącego w szeroki świat przez morze.

Rozumieli to doskonale nasi władcy z okresu dziejów Polski niepodległej. Ku morzu zwracał swe dążenia Bolesław Chrobry, o morze walczył Krzywousty, o morze toczyły się niejednokrotnie walki za Jagiellonów prze-

zawierający miejscowości takie, jak Puck i Gdynia oraz półwysep Hel. Młode Państwo Polskie ogromny wysiłek włożyło w rozwój tego nadbrzeżnego pasa ziemi, a chcąc się uniezależnić od Gdańska, wybudowało port nowy własny, do wymogów nowoczesnych dostosowany — Gdynię.

Wy, Drodzy Czytelnicy, nie pamiętacie już, ile wysiłku materialnego i ile troski i dumy włożyło społeczeństwo nasze w rozbudowę Gdyni, ale rodzice Wasi pamiętają na pewno. Wynik tych wysiłków był imponujący. Tak o niej pisano przed rokiem 1939:

„Gdynia jest pierwszym portem na Bałtyku tak co do ruchu, jak i co do nowoczesnych urządzeń. Mamy własną łuszczarnię ryżu, dokąd ryż aż z Indii dalekich statki nam przywożą, a zabierają pociągi nie tylko dla Polski, ale Czechosłowacji, Rumunii, Austrii i innych krajów. Mamy wielką chłodnię specjalnie dla owoców i szynek przeznaczoną, bodaj że największą w Europie. Mamy olejarnię, jakiej drugiej w tych stronach nie ma. Mamy dziennie najmniej 40 statków w porcie, a zdarza się, że i ponad 60. Mamy własne statki, nie tylko dla żeglugi towarowej, ale wielkie motorowce transatlantyckie... Mamy z górą 100 km. torów kolejowych, kilkadziesiąt kilometrów dróg, 70 dźwigów i żurawi, urządzenia do przeładunku węgla o wydajności 21 tys. ton dziennie ... 25 magazynów, dok pływający, warsztaty, stację meteorologiczną przepowiadającą pogodę, i wszystko to, co wielkiemu portowi potrzebne ...“

Ze Niemcy celowo zniszczyli Gdynię i jej wspaniałe urządzenia, że Gdynia ucierpiała wiele od bombardowań i ognia artyleryjskiego ... to wiemy. Ale wiemy także, że prawie wszystkie polskie okręty zdołały umknąć z łap niemieckich, ująć do Anglii i że dzielnie walczą dziś u jej boku, raz po raz, okrywając imię polskie sławą. Wystarczy powiedzieć, że polscy marynarze zdobyli trzecią część wszystkich odznaczeń wojskowych brytyjskich, przypadających na całą marynarkę wojsk Sprzymierzonych! Piszą o tym wszystkie gazety — nie tylko nasze, ale i zagraniczne.

W walkach tych zatonął niejeden statek polski — jeszcze w Gdyni, torpedowiec „Mazur“, na Bałtyku „Wicher“, kontrtorpedowiec, i „Gryf“ który kładł miny. „Orkan“ poszedł na dno Atlantyku a „Kujawiaka“ straciliśmy pod

Malta. Jednak i teraz, w czasie wojny, nie jeden statek nam przybywa, — rośnie mimo wszystko nasza mała flota. A przyszła Polska będzie jej bardzo potrzebowała, bo musi się oprzeć szeroko i wygodnie o morze, by mogła się zdrowo i należycie rozwijać.

Na zakończenie zaś tych rozmyślań o naszym morzu wspomnijcie raz jeszcze wiersz, który macie w swoich czytankach, a który może umiecie i na pamięć:

A siedmiokrotnie, niżli Holandia,  
Czterykroć jak Serbia, dwakroć jak Grecja,  
Dwakroć, jak Belgia, jak Narwik, jak  
Kandia,

Tyleż co Francja

— i dłużej

— niż Singapore,

Zbrojny w czerwień i biel,

Umocniony honorem,

Bronił się polski piasek nadmorski

— Hel.

(Sz.)

## TECZKA ZOSI

Krzyk i hałas słychać z teczki :

„Zróbże, Zosiu, porządeczki !“

Płaczą kredki i ołówki —

pożamały im się główki,

płacze książka z wielkim kleksem —

wstyd mieć w teczce taką bekę,

no a zeszyt do rachunków,

powalany tłustą bułką,

szynką, masłem, atramentem,

jak wygląda! — nie pamięta.

Gumka-myszka grzecznie prosi,

żeby mogła pomóc Zosi,

do roboty się zabiera :

wszystkie plamy powyciera !

Wuj Stas.

ANATOL KRAKOWIECKI

# RYSZARD RYSZARD MAŁE LWIE SERCE

Warkot ten był suchy i tępy, szczęśliwy i urywany. Od razu można było poznać, że nie jest to warkot samolotu. Przybliżał się bardzo szybko. Obecni w szafasie podnieśli głowy. Major spojrzał prosto w twarz porucznika i rzekł:

— To najwidoczniej wraca nasz kurier. Wkrótce, panie poruczniku, będzie pan mógł odlecieć.

— Tak, panie majorze, to napewno warkot motocykla. Zobaczymy, czy pańskie przecucia są trafne. Chciałbym jak najprędzej wylecieć, ażeby przed świtem zdążyć na miejsce. Nie idzie tutaj oczywiście o kwestię takiego, czy innego niebezpieczeństwa, ale rozkazano mi wrócić najdalej na godzinę trzecią. A tutaj już . . .

Porucznik pochylił się nad zegarkiem, który miał stanowić prezent dla Ryszarda i dokończył:

— A tu już prawie godzina druga. W najlepszym razie mam półtorej godziny lotu. — Co z tym fantem robić?

— Mie możemy przecież odmienić rzeczywistości. Jak tylko kurier doręczy meldunek, może pan zaraz startować. Gdzie jest sierżant Płatek?

— Rozkaz, panie majorze — odezwał się sierżant.

— Czy już zawinął pan paczkę z rzeczami, znalezionymi u zabitego?

— Tak jest, panie majorze. Jest już gotowa. Proszę, oto pakunek, zawinięty, jak u braci Pakulskich.

Na wspomnienie znanej firmy warszaw-

skiej wszyscy uśmiechnęli się szeroko. Tymczasem warkot nagle ucichł, potem słychać było kilka silnych wybuchów rur wydechowych, jakby pękających wystrzałów i nastąpiła cisza.

— Widocznie kurier przybył nad brzegi rzeczki. Teraz przenosi przez wodę motocykl. Niechno tam któryś pójdzie i pomoże mu. Wprawdzie przy tym naszym, tak bardzo nieszczęśliwie pogodnym wrześnie, stan wody w rzece bardzo opadł, ale i tak są zdradliwe głębiny. Kurier rzeczki nie zna zbyt dokładnie . . .

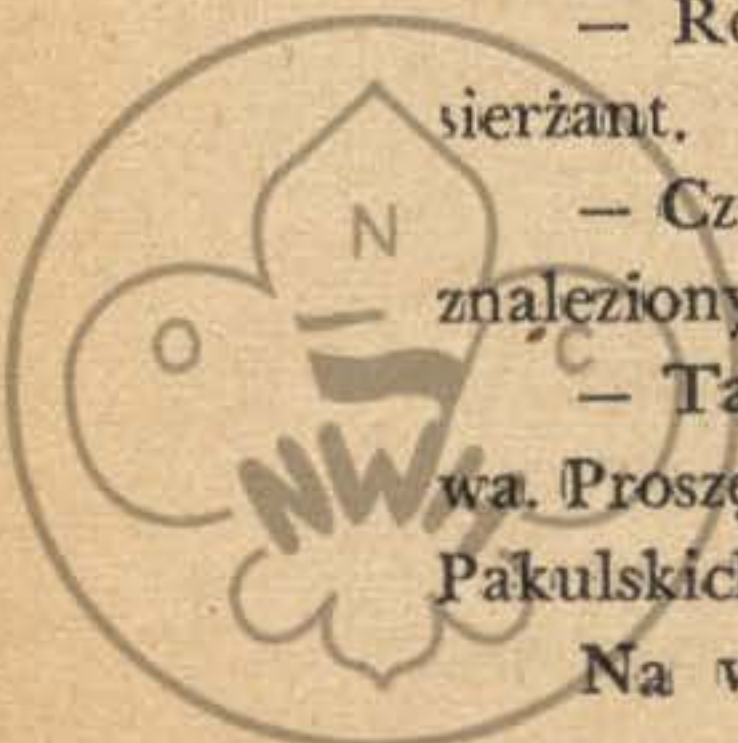
Zanim major dokończył tych słów, już dawno kilku ludzi na czele z sierżantem wyszło poza obręb szafasu. Już nawet słychać było rozkazujący głos sierżanta Płatka:

— Co to, boisz się kataru? Na wojnę poszedł, a kataru się boi! Chcesz widocznie ciągle się trzymać ciocinego fartuszka. Jazda tam chłopcy z tą maszyną. A pan niech idzie czymprędzej do majora.

Rozkaz ten widocznie udzielony był kurierowi, ponieważ już po kilku sekundach wszedł do ziemniaki plutonowy, obmoczony bezmała do połowy. Woda ściekała z niego. Kiedy stanął na baczność i wyprężył się, momentalnie na klepisku, które stanowiło podłogę, rozlała się wielka kałuża. Plutonowy zaś zwrócił jasne oczy ku majorowi i meldował:

— Melduję posłusznie, panie majorze, rozkaz wykonałem. Przywiozłem również odpowiedź.

Kilka ruchów ręki w stronę chlebaka przewieszzonego przez ramię i wyjrzała na



wierzch spora paczuska, starannie owinięta w papier. Major wyciągnął rękę po nią, ale plutonowy najwidoczniej miał coś jeszcze do zakomunikowania.

— Panie majorze, proszę o rozmowę w cztery oczy.

— Panowie będziecie łaskawi na chwileczkę wyjść.

Kiedy opróżnił się szafas, plutonowy sięgnął do wewnętrznej kieszeni bluzy i wyjął z za pazuchy żółtą kopertę niezbyt wielkich rozmiarów, opatrzoną dużymi lakowymi pieczęciami.

— Według rozkazu mam to panu majorowi oddać na osobności. Tu również jest kartka dla pana majora, co ma z tymi fantami zrobić.

Major przeczytał uważnie słowa, napisane na kartce, spojrzął na plutonowego, jakby go, nie widząc — widocznie rozważał treść kartki. Po kilku sekundach wydał rozkaz:

— Dziękuję wam, Jankowski. Wyjdziecie teraz, a ja tu zaproszę pana porucznika.

Major sam po wyjściu Jankowskiego uchylił koc, który miał zastępować drzwi i zawołał w ciemność nocy:

— Panie poruczniku, proszę do mnie.

Długo szeptali major z porucznikiem i nikt nigdy chyba się nie dowie, o czym mówili. Mniejszą kopertę porucznik schował do wewnętrznej kieszeni, zupełnie tak samo, jak przywiózł ją plutonowy Jankowski. Natomiast większą paczuszkę włożył do torby skórzanej, niedbale przewieszanej przez ramię.

Major, który dotychczas nieświadomie trzymał w ręku zegarek porucznika, podszedł do śpiącego Ryszarda i włożył ten zegarek do kieszonki. Sam zaś gestem wskazał porucznikowi wyjście.

Wyszli obydwaj i zaczęli świecić latarkami elektrycznymi. Równocześnie kilka elektrycznych latarek rozbliły opodał i wszystkie posuwały się w jednym kierunku. Z daleka musiało to wyglądać, jakby zespołowy lot robaczków świętojańskich, zdążających w jednym

kierunku, ohwiejnych i migotliwych. Wreszcie ten pochód robaczków świętojańskich dotarł do samolotu, czerniejącego na środku łąki. Wszystkie reflektorki małych lampek elektrycznych skierowało się teraz w jedno miejsce, umożliwiając porucznikowi wejście do samolotu. Następnie znów wszystkie reflektorki skierowały się ku miejscu, w którym znajduje się śmigło samolotu. Jakiś człowiek podszedł i ujął rękami śmigło, aby je rozruszać. Machinalnie wszelkie rozkazy i rozmowy prowadzono szeptem.

Wtedy niebo granatowe i usiane gwiazdami, ale przerażająco czyste nagle jakby się zaniepokoiło i zadrżało. Jakiś szum, jakby podmuch nieoczekiwanego niebezpieczeństwa w jednym ułamku chwili zgasił wszystkie lampki.

— O, diabły! Nocny lot!

Jak burza, nadeszła warstwa samolotów i przeleciała.

— Przyznam się, że nie często widzę nocny lot ... odezwał się jakiś głos.

Wtedy lampki elektryczne rozgorzały na nowo, jakieś ręce znów ujęły śmigło samolotu, motor warknął, zahuczał, zajęczał, jakieś dwie pary rąk wyciągnęły podpórki z pod kół samolotu. Motor znów zarżał jeszcze silniej, samolot drgnął, ruszył ciemnym kształtem po błoni i wkrótce widać było tylko jakąś dziwną plamkę rysującą się nad jakby tuszem narysowanymi ścianami lasu, a potem widać było tę plamkę zasłaniającą gwiazdy i przemykającą wśród gwiazd.

— Oby tylko zdążył, zanim oni będą powracać z nalotu. Przecież oni mają dwa razy szybsze maszyny.

— Ale oni, panie majorze, polecą drogą powrotną prosto na zachód, a on wystartował w kierunku północno-zachodnim.

— Tak, mimo to, może on w swojej drodze, na swojej trasie spotkać inną falangę bandyckich aparatów. Niech go Bóg strzeże.

Kika, a może kilkanaście głosów, rzuciło w czarny odmęt nocy przyciszone życzenie:

— Szczęść Boże!

### ROZDZIAŁ III.

Co to ma znaczyć? Co ma znaczyć ten jakiś dziwny sufit, który się skłania nad głowę. To tak, jakby ktoś na suficie położył pleciony płot, albo może tak, jakby ktoś z półkoszków

wozu zrobił powagę? To było pierwsze spojrzenie w górę, a potem pomalutku wzrok obiega dookoła.

— Co to jest? Gdzie ja jestem?

Ryszard się przebudził.

### MŁODE PIÓRA

## HISTORIA ZŁOTEGO PIERŚCIENIA

W błękitnej sali sejmowej zebrani są wszyscy wodnicy. Radzą nad bardzo ważną sprawą. Oto z dniem dzisiejszym kończy się panowanie Czarnego Orła nad Bałtykiem. Dzisiaj ma zostać wybrany nowy władca. Wodnicy nie mogą w żaden sposób dojść do porozumienia. Czarny Orzeł źle panował nad błękitnym Bałtykiem. Był on królem nocy; mieszkał w ogromnym pałacu z marmuru, strzeżony przez całe regimenty strasznych ślimaków i potworów morskich na dnie morza. Najbardziej jednak znęcał się nad królową światła Syreną, której wszystko już odebrał prócz kryształowego pałacu. Syrena była ogólnie lubiana, lecz za słaba by odeprzeć ataki okrutnika.

Obrady zaczęły się przeciągać. Każdy z wodników proponował innego władcę. W pewnej chwili rozległ się metaliczny dźwięk i na kryształową posadzkę błękitnej sali sejmowej upadło coś złotego, błyszczącego. Wodnicy zerwali się z miejsc, by zobaczyć z bliska błyszczący przedmiot. Najprędzej dobiegł i podniósł go wodnik odziany w białą czerwoną szatę. Zebrani w okół niego zobaczyli w rękach zdobywcy złotą obrączkę z wrytym na niej Orłem.

W tej chwili rozległo się stukanie laską i rozległ się rozgłośny głos wodnika — senatora.

— Proszę wszystkich posłów o zajęcie swoich miejsc!

Gdy rozkaz został wykonany, marszałek zabrał głos i rzekł:

— Uważam, że obrączka, która zamąciła przed chwilą spokój, rozwiąże doskonale spr-

wę, nad którą tak mozolnie radzimy, więc pozwalam sobie zapronować, że panowanie nad Bałtykiem obejmie ten władca, do którego należy obrączka.

Na sali zaległa cisza. Wszyscy posłowie przyznali rację marszałkowi który kończył:

— Ponieważ przypuszczam, że obrączka pochodzi z brzegu, więc pošlę jedną małą rybkę, by sprawę wyjaśniła.

Po chwili powróciła wysłanniczka.

— Byłam na brzegu już od kilku godzin i to co zobaczyłam, bardzo mnie zdziwiło. Na złotym żwirze stał tłum ludzi w zielonych mundurach z orłami na czapkach.

— To strażnicy Czarnego Orła, przerwali wodnicy.

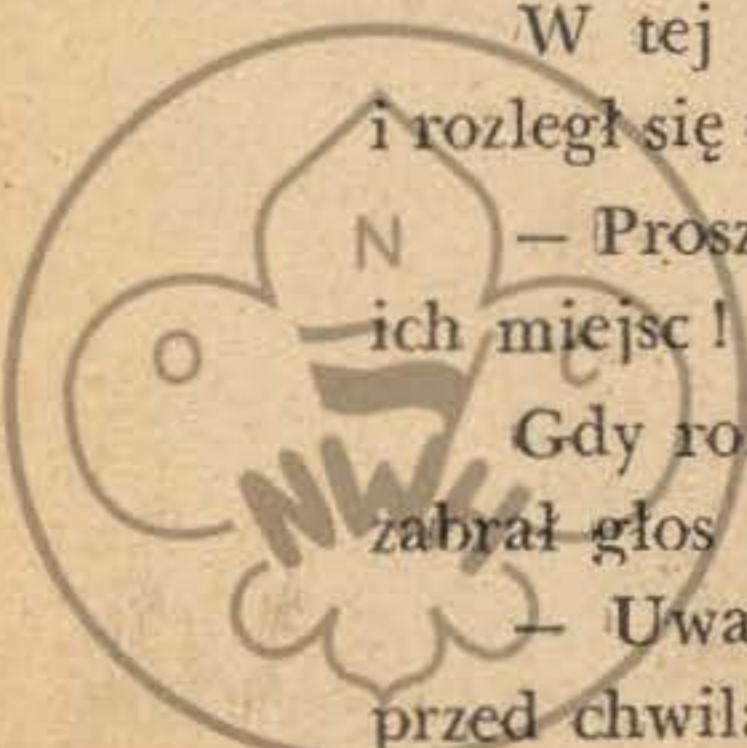
— Nie, to nie byli strażnicy Czarnego Orła, mówiła dalej rybka — strażnicy Czarnego Orła mieli na czapkach czarne orły, a ci mieli białe, które pięknie błyszczały w promieniach wschodzącego słońca.

— O takich nie słyszeliśmy! — krzyknęli wodnicy.

— Proszę o głos! Głowy wodników zwróciły się do najstarszego z nich, który w tej chwili wstał i chciał mówić.

— Pamiętam — rzekł ten — dawno, bardzo dawno widziałem nad morzem ludzi, których znakiem był Biały Orzeł, a wtedy panowała nad Bałtykiem czerwona bandera ze zgiętym ramieniem trzymającym miecz. Ale to czasy bardzo dawne, więc zatarły się one w mojej pamięci. Proszę Cię rybko, mów dalej.

— Więc stali na brzegu ludzie, a na ich





czele stał człowiek w niebieskim mundurze, widocznie przywódca. W okół zalegała uroczysta cisza. Przywódca żołnierzy zdjął z palca złoty pierścień i rzucił go daleko w morze. Potem orkiestra zagrała jakiegoś marsza, na odgłos którego wszyscy wyprostowali się jak struny. Następnie dowódca z rąk jednego z żołnierzy wziął sztandar i zatknął go nad brzegiem. Nad błękitnym Bałtykiem wiatr rozwinął biało czerwoną banderę.

— Biało czerwoną? — krzyknęli wszyscy wodnicy zwracając głowy w kierunku posła odzianego w szaty tegoż koloru — wobec tego władza należy do tego władcy, od którego jest ten poseł.

W tej chwili wymieniony poprosił o głos;

— Jestem posłem Syreny, która jest przedstawicielką Polski. Ojczyzna moja od najdłuższych czasów krwawi się w walkach z okrutnym wrogiem, który na sztandarze ma Czarnego Orła. Jednak prawda wygrywa. Czarny

Orzeł został pokonany i Polska zatknęła dzisiaj nad brzegiem Bałtyku biało czerwoną banderę.

Po tych słowach w sali zaległa cisza. Pierwszy zabrał głos marszałek.

— Wobec tego sprawa jest rozwiązana. Władza należy do Syreny.

— Niech żyje Polska! krzyknęli wodnicy.  
— A teraz do kryształowego pałacu.

W lśniącej, kryształowej sali siedzi na złotym tronie Syrena, wokół tronu stoją w odświętnych szatach wodnicy i dygnitarze dworu. Do stopni tronu przystępuje znany nam wodnik, ubrany w purpurowy płaszcz z srebrnym Orłem na piersi, podaje na złotej tacy pierścień rzucony w morze.

Nad Bałtykiem w blaskach zachodzącego słońca powiewa dumnie biało czerwoną bandiera z Białym Orłem, a fale grają hymn zwycięstwa.

Wojciech Ż.  
(ucz. kl. VI.)

## PRZYGODY KOLCZYKA

Ledwo Kolczyk zjadł swoją porcję, usłyszał głośny spór i hałas. Najeżył się i skulił w torbie. Plutonowego zapytywano o dokumenty. Coś objaśniał on patrolowi rumuńskiemu, a patrol jemu, ale nie mogli się porozumieć.

— Drapta, drapta (prawo) — słyszał Kolczyk.

Torba uniosła się w górę. Pociąg zaczął przystawać.

Wielki wstrząs, skok — i gwałtowny bieg, w którym tak trzęsło, jak może jeszcze nigdy...

— Drapta — mruknął do siebie plutonowy — niech wam będzie drapta... Jak wam drapnę, to tyle mnie zobaczycie. Prawda, Kolczyk?

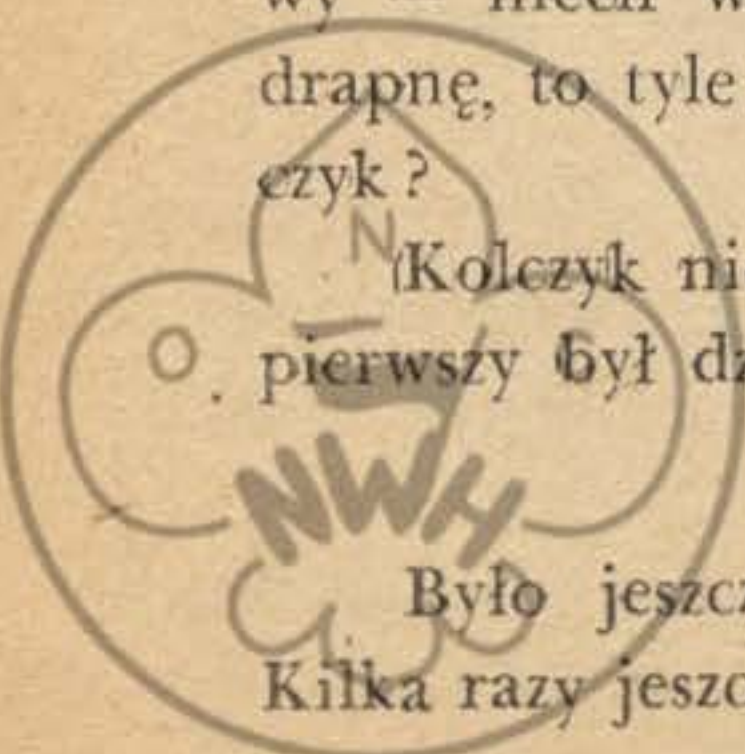
Kolczyk nic nie odpowiedział, ale po raz pierwszy był dziś zadowolony.

### IV.

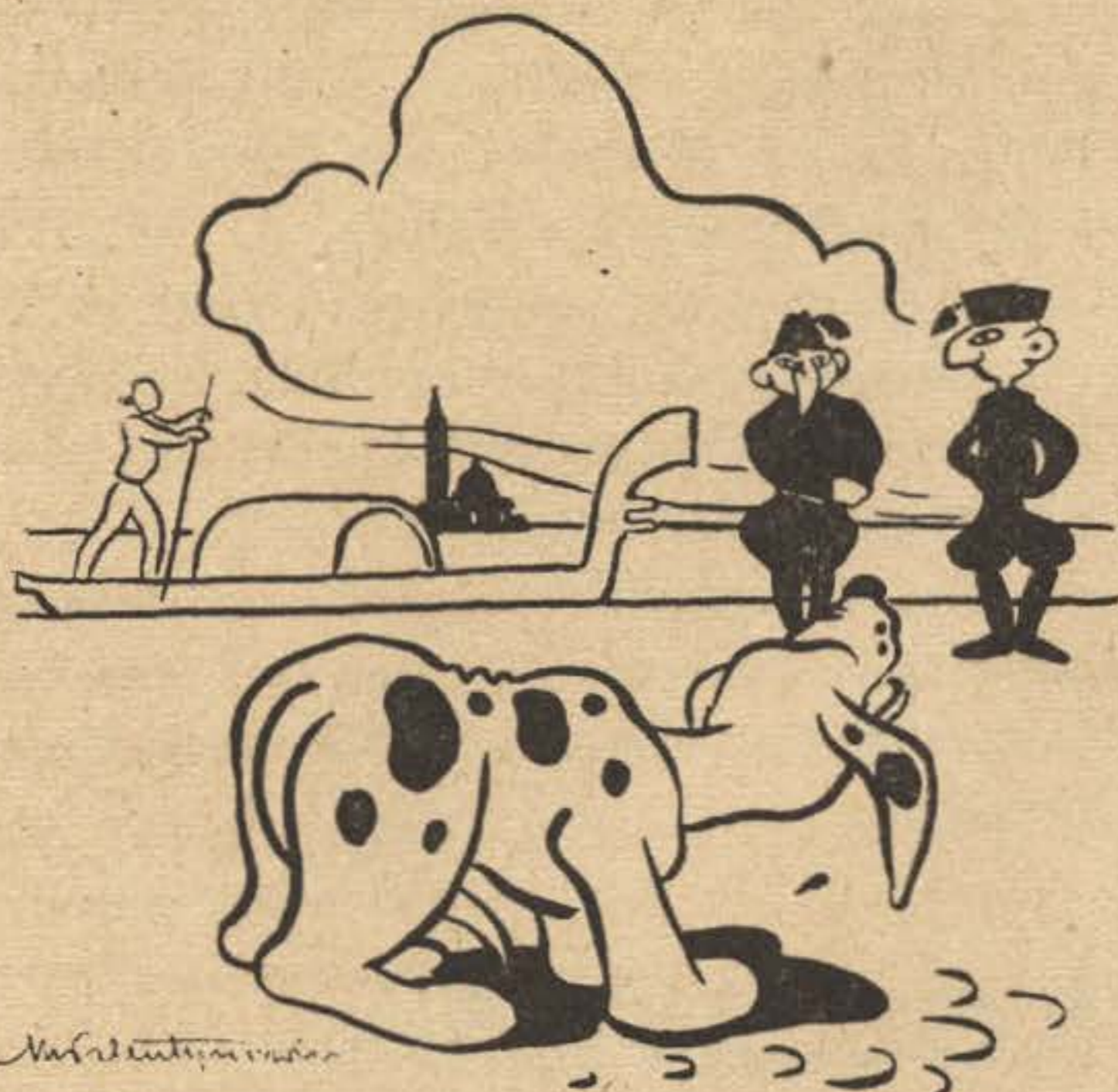
Było jeszcze z tą jazdą sporo kłopotu. Kilka razy jeszcze Kolczyk i jego pan to wska-

kiwali do pociągów, to z nich wyskakiwali, a raz nawet przejechali spory kawałek drogi na buforach pociągu towarowego. W końcu jednak dojechali do granicy jugosłowiańskiej i jakoś się przez nią przekradli.

Tu już jechali, jak się patrzy, osobowym wagonem, a pocziwy konduktor jugosłowiański zgodził się nawet, żeby „kucza“ (pies) nie opuszczał swego pana i nie szedł do psiego przedziału, pod warunkiem wszakże, że będzie leżał w torbie i nie naprzykrzał się podróżnym. Kolczyka nie trzeba było długo o to prosić. Tak się już przyzwyczył do tych osobliwych przygód, jakie się pewno żadnemu polskiemu psu nie przydarzyły, że wystarczyło zawołać: „Kolczyk do torby!“, żeby oko ludzkie psa nie zobaczyło. Potem półtora dnia jechali jeszcze przez Włochy. Tutaj Kolczyk o mało nie narobił kłopotu swemu panu. Gdy w Wenecji plutonowy Wiącek wyjął go z torby, by się pies przespacerował, Kolczyk



tak się zdumiał faszystami w czarnych koszulach, że zaczął strasznie szczekać. Długo i dyplomatycznie musiał potem plutonowy przeproszać i objaśniać na migi, że Kolczyk tak właśnie okazuje radość i uznanie. Faszysta udobruchał się, bo jeszcze wtedy Włosi nie wojowali i nie mieli takiego stracha, jak teraz.



Na granicy francuskiej dużo było gwałtu i zamętu, ale nareszcie plutonowy Wiącek mógł pokazać prawdziwe papiery i powiedzieć, kto jest i poco do Francji jedzie. Do Generała Sikorskiego, bić się dalej za Polskę! Wśród Francuzów był już polski oficer graniczny, który przejrzał papiery, wypytał Wiącka o wszystko, a najbardziej to się ucieszył Kolczykiem.

— Naprawdę z Polski go wieziecie? — pytał. Oj, piesku, piesku, co ty będziesz miał do opowiadania, jak wrócisz do domu!

Kolczyk grzecznie podał oficerowi łapę, bo pomyślał: — Rodak!

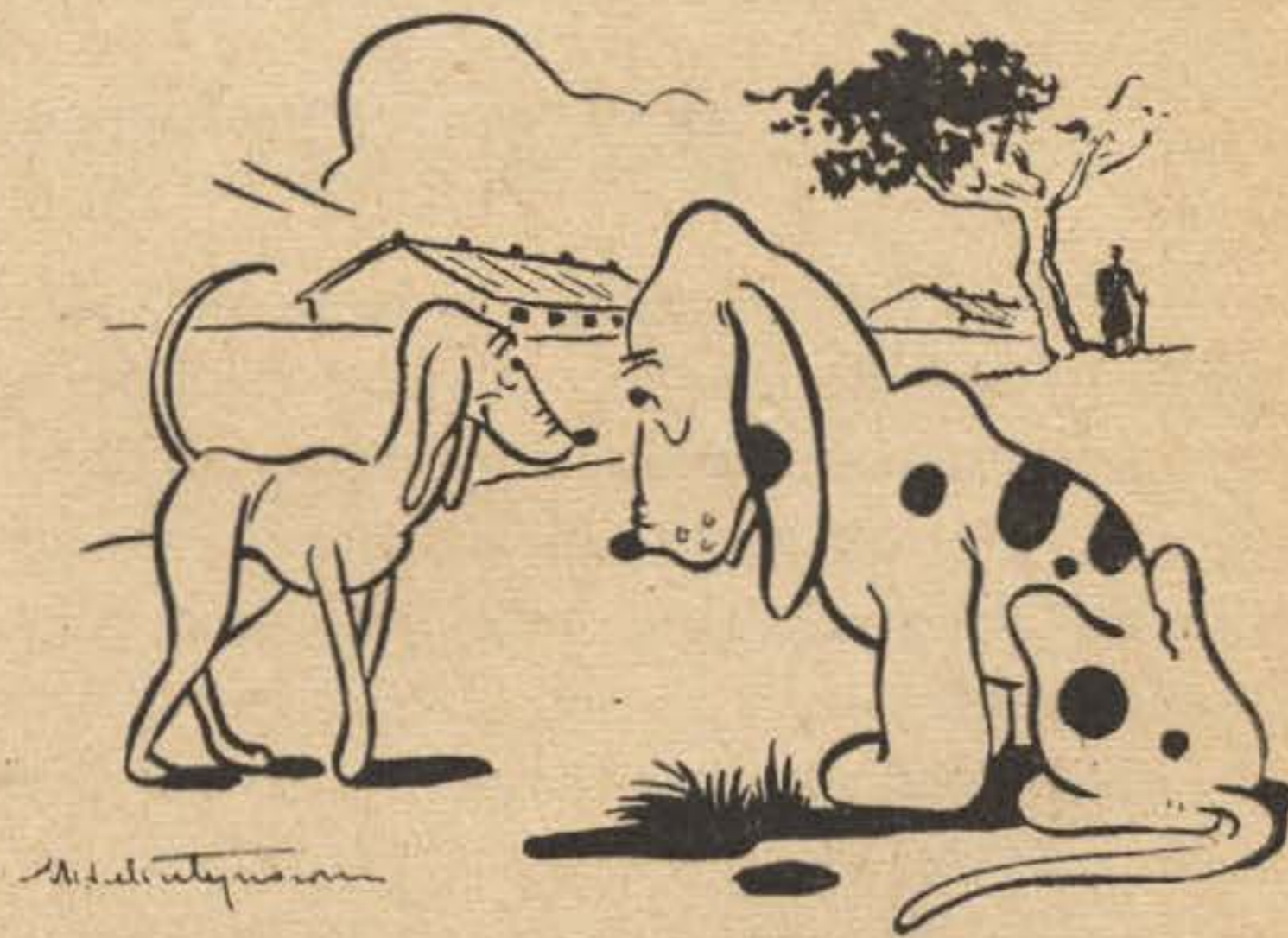
Zresztą był grzeczny od urodzenia, a nie cierpiał tylko Niemców.

Od czasu wyjazdu z Polski urósł bardzo i rozrósł się w sobie. Nie tak łatwo było by nieść go teraz kilometrami całymi w chlebaku! Kuchnia francuska smakowała psu znakomicie, a z żołnierzami był w świetnej, jak

zawsze, komitywie. Nie było dnia, żeby nie wyjadł pełnej menażki, i to nie jarzyn żadnych, których porządny pies nie jada, ale uczciwego mięsa, a nieraz bywała i repeta.

Gorzej było z towarzystwem. Wiadomo, że i najbardziej szłowieczały pies, jak drugiego psa zobaczy, to się doń wyrwa, i skamle, i chce biec, choć nie zawsze w przyjaznych zamiarach. Trzeba się poznać, powiedzieć sobie, kim się jest, a potem już stanie się, co się stać miało: albo pipka, albo rybka — albo przyjaźń, albo skórobicie.

Poznajomiał się Kolczyk z jednym francuskim pieskiem; prawdziwy to był francuski piesek, szczupły i cieniutki. Nazywał się Bukiet i należał do miejscowego sklepikarza. Kolczyk, jako pies dobrze wychowany i znający się na formach towarzyskich, nie od razu dał mu po łbie. Zaczęło się to dopiero z racji sporu o wojnę.



— Ja bym tam za nic na wojnę nie szedł — pisał cieniutko Bukiet. — Strzelają, kłują — brrr! Jeżeli mego pana powołają do wojska, a on zgodzi się iść wojować, to ja zostanę w domu. Trzeba tu opieki: pani sama sobie rady nie da.

— Opieki! — warczał z politowaniem Kolczyk. — Jak by taki z przeproszeniem, niedołęga mógł się kim opiekować! I cóż ty tu będziesz robił?

— A tylu jest cudzoziemców, to trzeba na nich szczekać!

— Nie „cudzoziemców“, tylko „sprzymierzeńców“! — zirytował się Kolczyk. — Ładnie cię wychowali!...

Po chwili Bukiet wiał do domu z nadwyrężonym uchem, a Kolczyk dumnie wracał do obozu.

— Warta pod broń! — wołano przeciągle, bo jakiś dostojnik właśnie zajeżdżał przed obóz w lśniącym samochodzie.

— Nie potrzeba — mruknął Kolczyk i, machnąwszy ogonem, przedefilował pierwszy przez bramę.

## V.

Orkiestra grała Warszawiankę. Pułk wyruszał na front.

Na froncie było gorąco. Polacy trzymać musieli cały odcinek i opóźniać natarcie nieprzyjaciela. Odkąd Francuzom powiedziano, że są robione starania o pokój, naturalnie bić się już nie chcieli.

Kolczyk ze swym panem odbył wszelkie walki i cały ciężki odwrót, od Alp do oceanu. Doszli wreszcie do morza i szczęśliwie trafili na polski statek, przysłany z Anglii, żeby Polaków przewozić.

Czekając na odpłynięcie statku, siedzieli w małej knajpce portowej i spożywali dary Boże. Naokoło mało już było Polaków; lada chwila spodziewano się wkroczenia Niemców. Mówiono nawet, że ich tajni agenci już się kręcą po porcie. Do stolika przysiadł się jakiś bardzo grzeczny pan. Zaczął pytać plutonowego Wiąca, skąd jest, dokąd się wybiera. Nim Wiącek zastanowił się jaką dać odpowiedź, grzeczny pan zachwycił się Kolczykiem.

— Ach, jaki śliczny piesek!

I wyciągnął rękę, żeby go pogłaskać. Ale Kolczyk pogłaskać się nie dał. Chwycił nosem jakiś wrogi zapach, bo cofnął się i zjeżył. Warknął głucho, jak na Niemca. Grzeczny pan skrzywił się.

— Piesek ładny i zły; to dobrze. Ale czemu pan nie trzyma go na smyczy; jeszcze kogo pogryzie.

— On gryzie tylko natrętów — odburknął plutonowy, który już się spostrzegł, z kim ma do czynienia.

— I niech go pan trzyma przy sobie. O, widzi pan: już po mnie skacze pchła!

— Kolczyk, chodź; ten pan ma pchły — zakończył rozmowę Wiącek, zapłacił — i po chwili razem z Kolczykiem wsiadał do łodzi, która odstawiła ich na okręt. Gdy przebudził się w nocy na pokładzie, już śruba okrętowa pruća fale, a służbowy podoficer chodził wśród podróżnych, nawołując:

— Nie palić na pokładzie, nie palić! Ogień widoczny jest z bardzo daleka, a szkoda by iść rekinom na pożarcie, kiedyśmy w Anglii potrzebni.

Kolczyk zwinął się w kłębek na pelerynie swego pana i zasnął. Było głodno i chłodno. I mokro. Ale za to nie czuć już było Niemcem.

Podróż ani nie trwała długo, ani nie była przerwana miną, torpedą lub bombą nieprzyjacielską. Po paru dniach zawinęli do wielkiego portu.

— Panie Wiącek — powiedział plutonowemu jeden z marynarzy — czy pan wie, że do Anglii nie wolno psów wwozić?

— Jak to nie wolno?

— A zwyczajnie! Każde zwierzę czworonożne musi przede wszystkim odbyć sześciomiesięczną kwarantannę. W ten sposób Anglicy pozbyli się zupełnie wścieklizny na swoich wyspach.

— Ależ Kolczyk się właśnie wścieknie, jak nie będzie ze mną! Od małości się ze mną nie rozstawał.

— Ano, niech pan robi, jak pan uważa. Ja tylko myślę, że jak się gdzie przyjedzie, to trzeba tameczne prawa szanować.

Zastanowił się plutonowy, Racja, nie ma co gadać! Ale psa żal. Jak by rozumiał, że się jego los rozstrzyga, patrzy miłosiernymi ślepkami na człowieka.

— A jak tam w tej kwarantannie? — zapytał jeszcze marynarza.

— Że lepiej być psom nie może! Płacicie coś tam miesięcznie, ale za to psy są pod dobrą opieką, karmione i hodowane. Akurat na Gwiazdkę, da Pan Bóg doczekać, pieska swego odbierzecie z powrotem.

Cóż miał zrobić plutonowy? Nie mógł przecież iść przeciw prawu. Zresztą trzeba było stawić się do obozu w Szkocji.

Poszedł do władz portowych i z ciężkim sercem, omal nie płacząc, oddał Kolczyka na kwarantannę!

— Bądź mądry, piesku — przemawiał do niego na pożegnanie. — Pan nie długo przyjedzie i pieska zabierze.

Wiecie, że akurat dziś upływa sześć miesięcy, odkąd Kolczyk rozstał się z swym panem? Spotkałem wczoraj plutonowego Wiątka na ulicy w Londynie.

— No, i co, panie plutonowy?

— A jadę po Kolczyka! Już cały obóz o nim wie i na niego czeka.

Na Gwiazdkę Kolczyk będzie już pewno w Szkocji, wśród polskich żołnierzy. Kto go potrafi zrozumieć, temu opowie, jak tam było w tej kwarantannie i o czym mówił z angielskimi pieskami.



## DWIE ZAGADKI ARABSKIE:

1

Dwoje zobaczyło jabłko, dziesięciu je zerwało, trzydziestu jadło: — ale jabłko znalazło się w żołądku jednego. Co to jest?

2

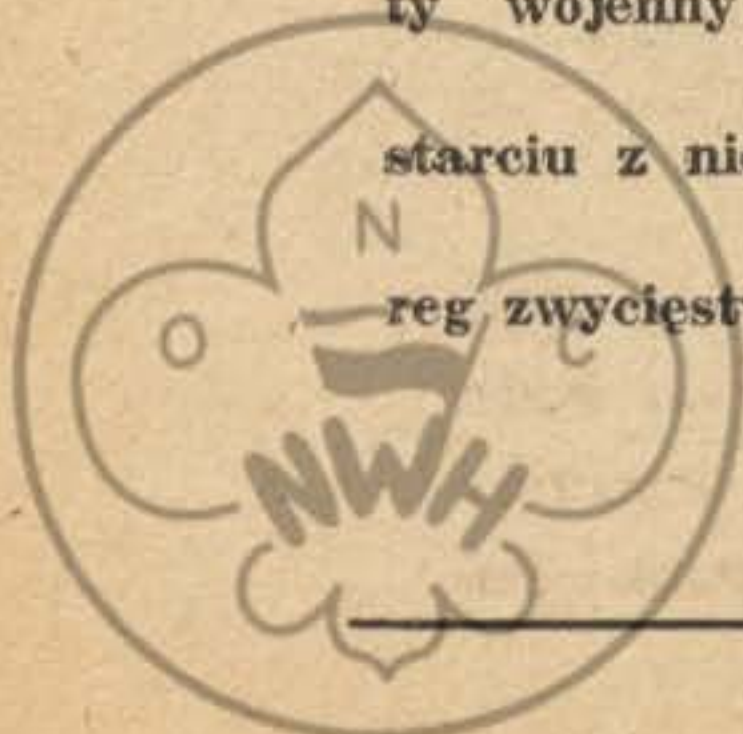
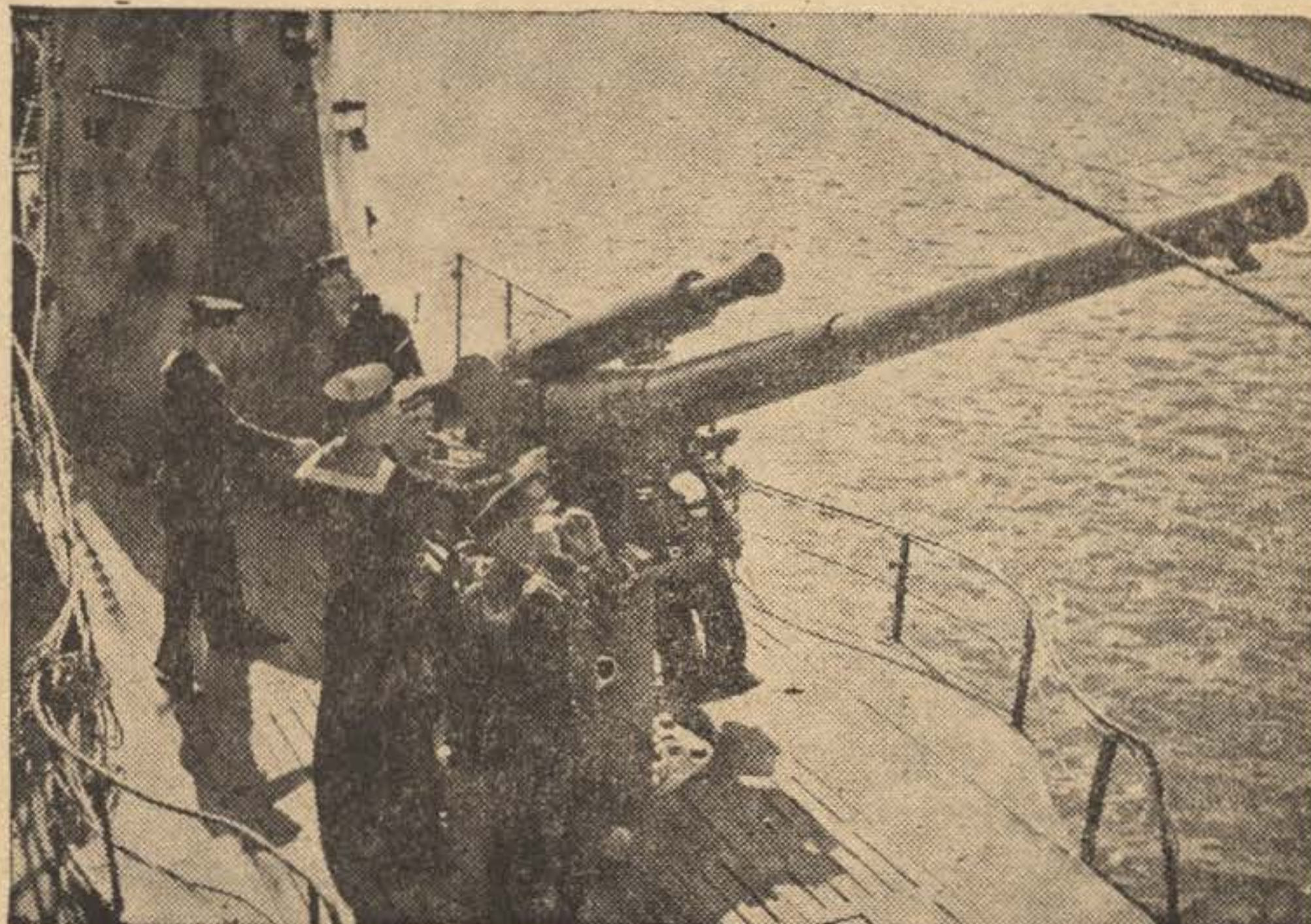
Czteroletnie dziecko miało czworo dzieci, dwoje z nich mądrych a dwoje szalonych.

Jedna zagadka polska:

Przyjechała pani  
Sto spodniczek na niej,  
Jak ją rozbierali  
To nad nią płakali.

Kto sam nie potrafi odgadnąć tych zagadek, znajdzie odpowiedź w następnym numerze.

Polska Marynarka Wojenna bierze obecnie udział w działaniach inwazyjnych. Nasze okręty wojenne odniosły już w starciu z nieprzyjacielem szereg zwycięstw.



archiwum

MARIA DYNOWSKA

# LEGENDA

## O KŁOSIE ZBOŻOWYM



W onych dawnych czasach, kiedy to Pan Jezus po świecie chodził, rodziło zboże tak bujnie, że kłosa od ziemi samej aż po wierzchołek ziarnem były okryte.

Ludziom, co rolę posiadali, życie płynęło w dostatkach. Zhardzieli też od tego bogactwa, i wszelka litość ku bliźnim w sercach ich wymarła. Sami używali od rana do nocy, same kołacze i placki bieluchne jedynie spożywając. Ohlebem prostym, szarym żytnim chlebem gardzili, lecz się nim nie chcieli z biedniejszymi dzielić. Nieraz całe bochny tego ohleba szły do chlewów, trzodom na posiłek, a i na śmietniku znalazła się kromka niejedna. Biedacy zaś odchodzili głodni ode drzwi bogaczy onych. Czasem tylko trochę mąki, przed progiem rozsypanej, lub trochę okruszyn spod proga wolno było zgarnąć.

Patrzył na to Jezus, i oblicze bladło mu od smutku a serce wzbierało żalem.

Wreszcie wyczerpała się pobłażliwość Zbawiciela. Postanowił ukarać złość ludzką. Więc białą swą sęką skinął nad łanami szumiącymi dojrzłym zbożem, a wnet kłosa jeły się kurczyć i maleć, i puste, suche źdźbła słomy spod nich wyjrzało.

Strach padł na nieużytych bogaczy. Widzieli, jak dobytek ich marnieje, czuli, że uratować go nie mają mocy. Ziarno zbożowe z szelestem sypało się na ziemię, źdźbła suchej słomy wydłużały się i rosły. Jeszcze chwil kilka, a z bujnego, dobroczynnego plonu nic nie zostanie.

Ale i Matka Boża patrzyła na tę srogą karę z rąk najmilszego Syna na złych ludzi idącą, i serce Jej przesłodka, serce przemiloserne zapragnęło dla nich przebaczenia. Po-

chyliła swe czoło do stóp Jezusa i błagać począła:

— Daruj choć resztę winy. Pozostaw choć odrobionę pożywienia tym nieszczęśliwym. Zgrzeszyli, to prawda, lecz nie karz zbyt surowo. Litości okaż trochę.

Rozjaśniły się smutne oczy Zbawiciela. Głowę Matki, tę najdroższą głowę — co się tyle razy nad nim w dniach dzieciństwa z miłością pochylała, do piersi przygarnął i rzecze:

— Uratujże dla ludzi to, co obejmą twe dłonie.

Rzuciła się Przenajświętsza Paniienka ku

łanowi zbożowemu, drobne ręce rozwiera, jak najszerzej; pragnęłaby w nie jak najobfitszą garść ziarna ująć, pragnęłaby jak najwięcej strawy ludziom ocalić.

Lecz wola Syna jest nieodmienna — niezłomna.

Uratowała więc Maria to tylko, co chwyciły jej dłonie.

I dlatego to, od dni onych, puste żdźbła słomy wznoszą się wysoko nad zbożowym łanem, a ziarna w nich niewiele — tyle tylko, ile Matka Boża zdołała ukryć w swe szczupłe ręce.

### CO SIĘ DZIEJE NA ŚWIECIE ?

## WOJNA POWIETRZNA

Wszyscy wiemy, że lotnictwo w wojnie obecnej odegrało i odegra wielką, najważniejszą rolę. Akcja intensywnych, ciągle wra-  
stających bombardowań jest wstępem do wielkiej ofensywy piechoty i broni pancernych. Inwazja kontynentu europejskiego poprzedzona była właśnie skutecznymi działaniami lotnictwa, które toruje jej dalej drogę i zapewnia pomyślny rozwój. A trzeba wiedzieć, że lotnictwo Sprzymierzonych jest obecnie duże — o wiele większe od lotnictwa niemieckiego. Widać to np. z zestawienia nalotów niemieckich na Londyn i nalotów Sprzymierzonych na Berlin. My wysyłamy około 600 do 1000 samolotów w dzień (Amerykanie) i taką samą ilość w nocy (R.A.F.), gdy Niemcy użyli podczas wiosennych bombardowań Londynu około 100 do 200 samolotów jednorazowo.

Sytuacja wojenna Niemiec z dniem każdym staje się gorsza. Przemysł lotniczy mają Niemcy tak bardzo zniszczony wskutek bombardowań lotnictwa Sprzymierzonych, że każdy samolot wraz z wyszkolonym personelem przedstawia dla nich olbrzymią wartość. Dlatego muszą coraz bardziej oszczędzać tak sprzęt, jak i lotników, i dlatego wysyłają obecnie „roboty“, t. j. samoloty bez załogi. Bombardowanie Londynu jest więc dla nich luksu-

sem, na który pozwalają sobie, narażając się na wielkie straty i stawiając czoło huraganowej zaporze ognia.

A może wyda Wam się dziwnym, że Sprzymierzeni tak często nękają nalotami stolicę Niemiec — Berlin? Dzieje się tak dlatego, że tam właśnie, w Berlinie, skupia się jedna trzecia całego przemysłu elektrycznego Niemiec. Zniszczenie tego właśnie przemysłu będzie ciosem ostatecznym, zadany machinie wojennej Niemiec.

(J. M.)

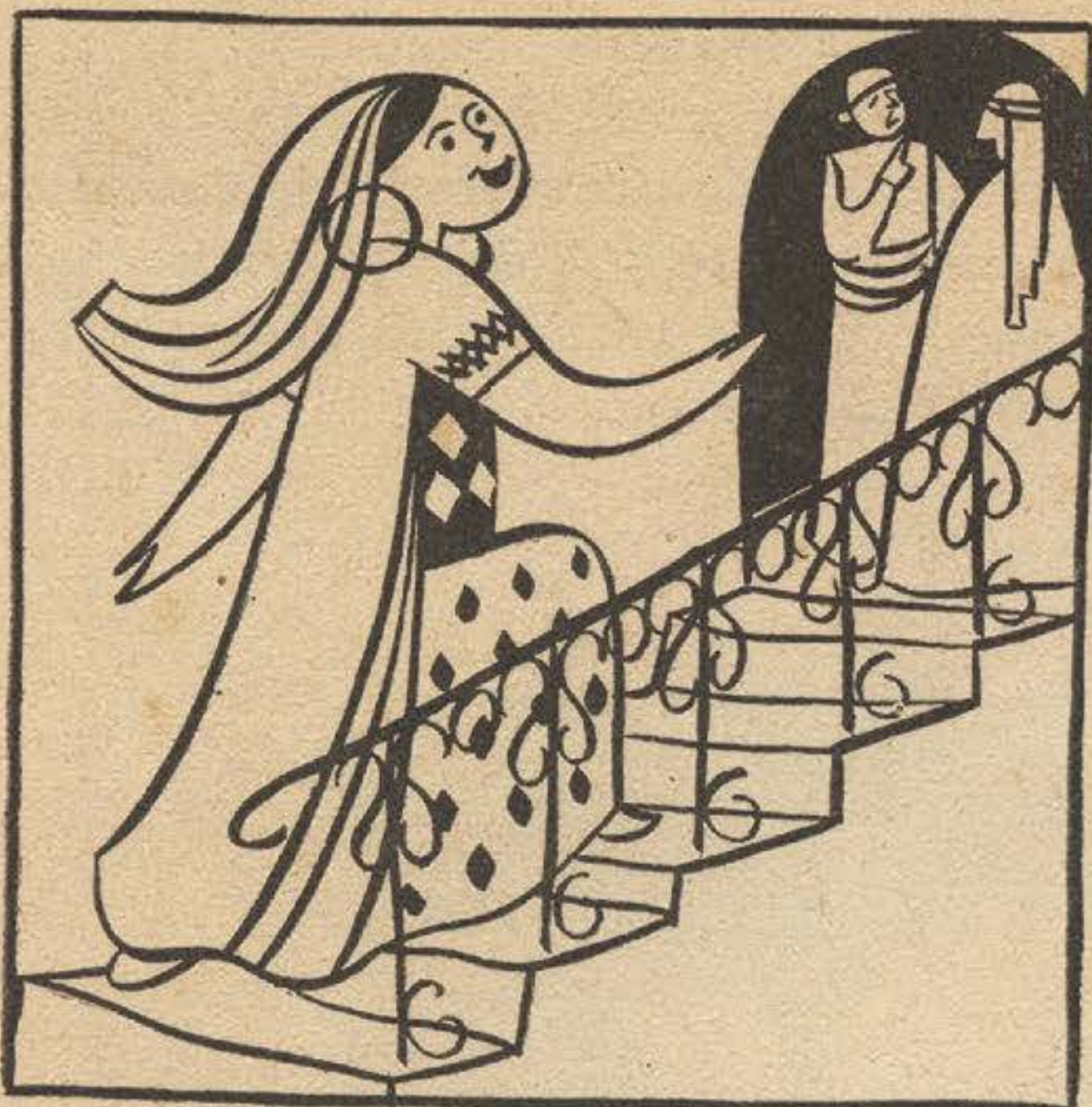
*Lotnictwo komunikacyjne po wojnie.*

Wynalazki, które dzisiaj służą celom wojennym, po zawarciu pokoju spożytkowane będą dla dobra ludzkości, dla rozwoju cywilizacji i ułatwienia życia. Takim wynalazkiem jest samolot. Dziś — wyrabiany w fabrykach wojennych — ma postać groźnego bombowca i uzbrojonego w karabiny maszynowe myśliwca. Po wojnie będzie on dobrotliwym olbrzymim statkiem powietrznym służącym do przewożenia pasażerów, towarów i listów na wielkich przestrzeniach w bardzo krótkim czasie.

Z Warszawy do Ameryki będzie można się dostać w kilkanaście godzin. List wysłany po południu z Warszawy, tego samego jeszcze dnia będzie doręczony w Londynie. Dobro-

# FATMA I NARGILE

I



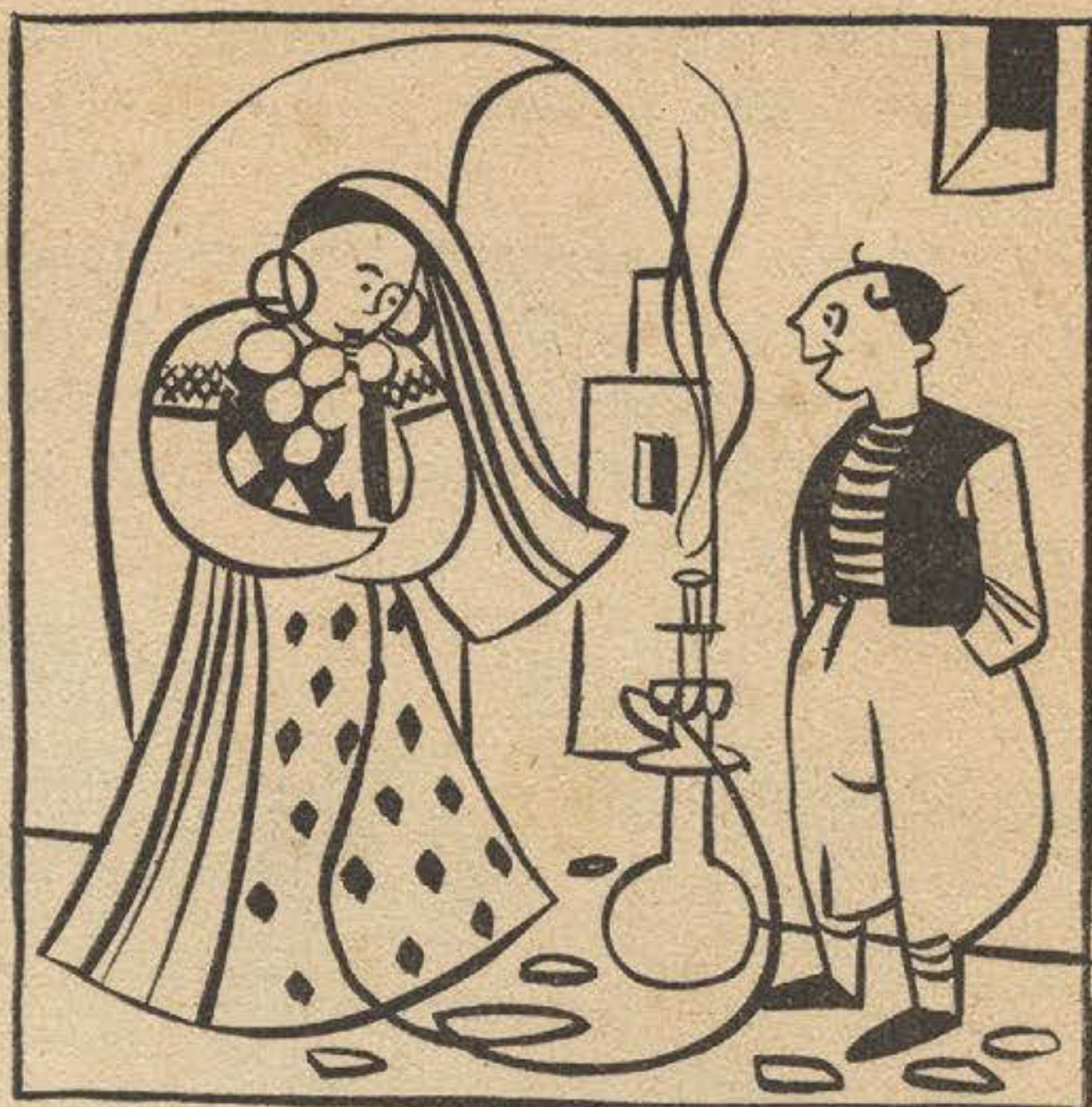
Gdzież to Fatma gna po schodach jak spłoszona kózka młoda? — To pan mówił, że za chwilę chciałby swoje mieć nargile, że świat byłby nieciekawym bez nargili, czarnej kawy.

II



W kawiarence dużo gości, piją kawę, grają w kości. A gospodarz kichnął w szalik: — „Mała Fatmo, a, *kif halik?*“ — Fatma się uśmiecha mile i zabiera swe nargile.

III



Ale w drodze tak ją kusi, że aż w bramie stanąć musi: „no, ciekawam, prawdy ile, w tym, że dobre są nargile?“

IV



Spójrzcie teraz na obrazek, a odrazu zrozumiecie, że nargile-wynalazek dobry, ale nie dla dzieci. Boli głowa i brzuch boli; pani dziś jeść nie pozwoli.

Ilustracje wykonał artysta-grafik Zygmunt Kowalewski. — Drukarnia: The Jerusalem Press

dziejstwa komunikacji lotniczej dotyczą nie tylko obszarów cywilizowanych. W Afryce np. gdzie byłoby bardzo kosztowne budowanie kolei poprzez wszystkie pustynie i góry, samolot przeleci ponad nimi bez trudu, a pasażer będzie mógł przebyć Afrykę wzdłuż i wszerz w kilka godzin.

Oczywiście komunikacja lotnicza istniała i doskonale rozwijała się już i przed wojną. Wojna jednak spowodowała znakomite ulepszenia techniczne samolotów, zwiększenie ich

**T. BRZECHWA**

szybkości i olbrzymi postęp w masowej, bez porównania tańszej fabrykacji.

Dlatego po wojnie gęsta sieć regularnie obsługiwanych linii lotniczych opasywać będzie świat, a lotnictwo komunikacyjne czyli pasażerskie i pocztowe będzie miało olbrzymie znaczenie. Ludzie przyzwyczajają się do używania samolotu, który będzie tanim środkiem komunikacyjnym, tak jak dziś przyzwyczajeni są do kolei i do poczty.

(B. W.)



Do biedronki przyszedł żuk  
I w okienko puk ! puk ! puk !  
Panienczka widzi żuka  
„Czego pan tu u mnie szuka ?“  
Skoczył żuk, jak polny konik,  
Z galanterią zdjął melonik  
I powiada :  
„Chodź biedronko, wyjdź na słońko,  
zaprowadzę cię na łączkę  
i poproszę o twą rączkę“.  
Oburzyła się biedronka :  
„Niech pan tutaj się nie błąka !

Niech pan zmiata i nie lata !  
I zostawi lepiej mnie,  
Bo ja jestem piegowata  
A pan nie!“.  
Powiedziała co wiedziała  
I czym prędzej poleciała.  
Poleciała i wieczorem  
Ślub już brała z muchomorem,  
Bo od środka aż po brzegi  
Miał wspaniałe wielkie piegi.  
W tym nauka jest dla żuka :  
Żuk ze żonę żuka szuka. —